

Ty coś słyszysz?
Coś ci opowiem.
Nie powiem, że na ucho.

Ucho się twoje zmyło. Jest tam pod ziemią albo i uleciało. Samo ucho w niebie nad Milanówkiem. Teraz ja się tu zamelinowałem. Jakby nie było w Europie innych miejsc, kurdepologne, na co mi przyszło, na stare lata. Odejdzie się dłuży jak końcówka marnego meczu, a ja gram na czas, strzelam do własnej bramki, pustej. I wciąż pudłuję. O, znam się na metafizyce piłki nożnej bardziej niż na metafizyce Arystotelesa.

Przewidziałeś to, że i ja w tej poetyckiej niecce? Z jednej do drugiej, bo i w G. coś takiego musiało być albo i jeszcze jest, skoro rodzi się tam tylu poetów. Najbardziej zbędni już reprezentanci rodzaju ludzkiego.

Uciekłem stamtąd i wylądowałem tu. Ile to kilometrów w linii powietrznej? Nie prostej przecież, raczej pokrętej.

No bo po drodze były inne stacje, dalsze, i gdzieś po drodze nasza stacja niespotkania, niedogadania: niewydarzona miłość prawiczka

do konesera i kolekcjonera. I rutyniarza. Sorry. Odwrotnie. Nie, nie ja się zakochałem, oj, to ty byłeś owym spławionym amantem.

Po latach wszystko się myli.

Tak czy inaczej albo inaczej i tak czy owak: nie chciałem być seks-palimpsestem. Dlatego dałem dyla. Bo pewnie jakbyś spojrzał na mnie, na ciało takie, jakie wtedy było, to byś mimo woli albo i świadomie porównywał z ciałami poprzednimi, mojego członka z członkami poprzednimi, zakosztowanymi albo tylko chcianymi. Dość, że nie doszło, a czemu, to ci opowiem. Taka spowiedź moja wielkanocna, choć w kościołach coraz mniejszy tłok. Ludziska się zorientowali, przynajmniej co trzeźwiejsi, że spowiadają się gejom takim jak ty albo gorzej, pedofilom jak twój teść. Może nim wcale nie był, ale w jednym odcinku serialu dopiero co pokazanego w TVP twój teść grany przez XY (nazwisko można sobie wyklikać), dość namolnie opiekował się małą rudowłosą i jak się to teraz mówi – sponsorował jej studia. Do Warszawy wyskakiwał, a nie wiemy, czy nie było tam jakichś tajnych spotkań ze Sponsorowaną. No, nie na Ścianie Wschodniej, gdzie ty miałaś swoją metę, bo jej jeszcze nie było, tej ściany, ale w jakiejś komnacie specjalnie wynajętej na takie cele. Bo przecież nie w Bristolu, gdzie później sam ze sobą, no wiemy. A ja swoje też wiem, jeśli chodzi o ten właśnie hotel.

Jak on się pięknie nazywał. Nie hotel, teść.

Mój boże, tak się nazywać! Teraz nocami chodzę z Lubą, która jest Lubym, po tej ulicy noszącej imię, to jest nazwisko twojego teścia, i myślę o nim i jego przeżroczach. To najlepsze, co mógł zrobić dla oczu potomnych.

A ty, co? Słowa, tylko słowa.

Nasze zdjęcia, te dwie smutne fotki, choć jesteśmy na nich tak sztucznie roześmiani, nie mogą z nimi konkurować. To jedyne nasze zdjęcia – świeższe coraz bardziej od nas samych...



FOTKA

*ona nas przeżyje
mógłbym ją spalić
jak mnie spalą
na dniach
to kiepski dowód
na nasze istnienie
ale zawsze coś
czy warto
zachować*

*patrzysz na mnie
jak wilk
na owcę
a owca kusi
wilka*

*to nie jest
tylko
„intelektualna przyjaźń”
jak pisałeś
chcąc mnie chronić
przed posądzeniem*

*jaka może być
intelektualna przyjaźń
między wilkiem
a owcą
no powiedz*

*a widać też
że wilk
patrzy z tej owcy
na wilka*

*ale obyło się
bez konsumpcji
i teraz
żałuję
jako twoja nie twoja
wilkoowca*

Więc one nas przeżyją, jeśli je opublikuję tu w tym miejscu, to one będą naszą wspólną tarczą przed czasem. One nas jednak nie osłonią przed złym dotykiem wzroku nam niechętnych. Ale przed dotykiem samego czasu. Ten ma najgorszy dotyk.

Tu w Milanówku podobnie jak w Podkowie masz swoją ulicę, ale nie da się po niej spacerować i trudno jeździć autem. Wyboista, nie powiem, jak twoje życie. T o by było trywialne, a stroni się, jak się jest skamandrytą, od takiej trywialności pospolitej, szuka się trywialności niepospolitej, ale się trzymać trywialności trzeba. Jest się wtedy komunikatywnym, nie jakimś pieprzonym awangardzistą, futurystą, anarchistą słowa.

Sprawdziłem, czy nie przesadzam z tą wyboistością. Naraziłem amortyzatory na więcej niż szwank, przejechałem całą (krótką) długość twojej ulicy przechodzącej w Letniskową (to Owczarnia), dopiero na Zachodniej (to już twoja Podkowa) jezdnia zrobiła się znośniejsza.

Ale nie żałowałem tego testu. Po drodze, a był wieczór, spotkałem jadącą na nieoświetlonym rowerze „Śmierć”. Starzec starszy od nas, miał ze sobą masę jakichś tajemniczych tobołków i pakunków, ale mógł być właśnie Śmiercią z jakiegoś nienakręconego filmu Bergmana. W dodatku przebiegła niedaleko Śmierci młodziutka sarenka, którą oświetliły moje reflektory: teatr uliczny.

À propos. Gdybyś widział, jak rzucają się na tę biedną katedrę Notre Dame, która wczoraj stanęła w ogniu, jak się zwykło mówić, ktoś ją podpalił albo może sama się zapaliła od tego, że już ma dość tego stania i dawania się podziwiać. Tego megagapienia się. Jak długo można? Ale solidaryzują się z nią, chcą ogrzać się w jej płomieniach. W przeszłości wielokrotnie zaobserwowano próby jej oderwania się, wzlotu, gorące modły napęliły ją niby balon gazem, ale były to próby poronione. Za ciężka, za mocno bryłowata, za mocno zakorzeniona w ziemi, nie powiem, że jak twoja Urania.

Pani A., czyli Anna, twoja żona, pokazała mi jej wnętrze – nie Uranii, a katedry – zawsze piszę tak niejasno, prawda? – i musiałem chcąc nie chcąc udawać, że zachwycam się jednym tam witrażem, nawet nie pamiętam czyjego autorstwa, zawołałem: „to boskie!”, bo myślę, że oczekiwaliście tego od prowincjusza, który przybył do Paryża po raz pierwszy i chcieliście mu pokazać cuda świata. Nie wszystkie, ale i tak nie starczyło mi entuzjazmu nawet dla tego jednego cudu, by ci się „oddać”, jak tego najwyraźniej się spodziewałeś, albo może tylko tak od niechcenia proponowałeś? A co ja takiego miałem ci dać? Czego „tak naprawdę”, jak teraz się mówi, się spodziewałeś? Ale może nie zależało ci wcale na tym jednym, może chciałeś o wiele więcej, a ja już miałem powyżej nosa tego podziwiania cudów nad Sekwaną.

I dobrze, że się pali, i dobrze, że ugasili. Bo tak doszczętnie spalonej to nikt by odbudować już się nie kwapił, a tak to będzie znów jakaś europejska solidarność i Polska się wykaże swoim przywiązaniem

do judeochrześcijańskich korzeni. Beżowym nic do tego i nic do nas. „Beżowi” to nowe słowo, nie znasz jego znaczenia, wtajemniczę, tylko sam sprawdzę w internecie. Nie ma go tam jeszcze, a jest stosowane. Właśnie w tym kontekście. Że beżowi podpalili, bo beżowi są be, są lenie i wszystko mają w dupie. Szczególnie naszą kulturę i jej ikony. Najchętniej oblaliby Giocondę kwasem siarkowym, ale im nie wolno nic podejrzanego wносить do Luwru. Kontrola jest coraz dokładniejsza. Samoloty, „galerie”, przedszkola już nieco mniej.

Gioconda to Europa, to my wszyscy, ona jest naszą twarzą, nie jakiś stary baner. Kiedyś przypominałeś mi krowę z reklamy średnio pysznego sera *La vache qui rit*. Można ją było zobaczyć na każdej stacji paryskiego metra, uśmiechała się do mnie, trochę jak Gioconda, do mnie jadącego do ciebie. Nie mówiłem ci o tym, ale podobieństwo było.



To nie było bezczelne, szanowałem cię od początku, jak szanuje się ojca. Bo mi ojca przypominałeś. Dawno temu, w klasie blisko już maturalnej, zobaczyłem twoje zdjęcie, czołowego „obrońcy pokoju”. Pod nim wiersz o gołębiczy. No wiesz, że niby „nie zstąpi na nas jak gołębicą”. Pokój mianowicie. Zażartowałem z tego w cyklu „treny”, później zacytuję. Mało kto pamięta. Ale w „Twórczości” musieli wiedzieć o co chodzi, chcieli właśnie ten wiersz zamieścić. Jako jeden z nielicznych. Sto jeden wierszy to przesada. Kto tyle pisze. Ano ja. Piszę, bo mnie wybrałeś, wytypowałeś jako tego „kolegę po piórze”, któremu to tak łatwo idzie, któremu leją się słowa. Jak „Czesiowi”, czyli Miłoszowi. A idzie, a przynajmniej szło łatwo, bo już zaczynam się męczyć. Oczy nie, oczy operowane świeżo, zaćma poszła w niepamięć.

Klawiatura nie chce palcom już służyć? Palce się ślizgają po niej jak kiedyś po klawiaturze fortepianu, gdy nie chciałem wystąpić i zagrać na cztery ręce z moim nauczycielem gry, p. Bernhardem. Musiałem go spoliczkować, by odstąpił od zamiaru zagrania ze mną na koncercie publicznym na cztery ręce, pieprzony pederfil. Nie opowiedziałem ci o tym, ale to nie na twoje gusta. Miałeś wybredne; Skamander wiedział, jak należy bawić publiczność i samych siebie też. A zabawowy nie byłem tak znów bardzo. Pamiętam, jak popełniłem w Stawisku *faux pas* na herbatce po nobliwym obiedzie w salonie, przeszliśmy do jednego z bocznych pokoi, a ja zdecydowałem się opowiedzieć tę fatalną historię, jak to niezdarne Chorwat – nazywał się Hajduk – który gościł nas na bajecznej wyspie Mljet, postanowił pożegnać swoich wakacyjnych gości kolacją z homarami, ale jak wypłynęliśmy po te homary, których łowienie było nielegalne, i wyciągnęliśmy kosz, w którym były schowane, znalazła się zamiast nich nażarta, niejako nafaszerowana homarami ośmiornica. I ją to ugotowało się na kolację, mieliśmy homary z drugiego żołądka i było wcale zabawnie, ale was ta historia wyraźnie zdegustowała. Chyba zbyt sugestywnie opisałem klekot, który towarzyszył wyciąganiu kosza z głębokości. To były niejadalne „pozostałości” homarów.

Przypomina się w tym kontekście słowo „zabawnik”, które wymyśliliśmy z R., wtedy żoną, którą poznałeś i którą ceniłeś. Zabawnik to było nasze bożyszcze, służyło zabawom erotycznym, ba, *explicite* seksualnym, jako że zabawnik był ich głównym aktorem, agentem, *deus ex machina*, choć nigdy właściwie nie sprawdziłem się ja, jego właściciel i (pod)nośnik, w roli męża i ojca rodziny. Zabawnik w trakcie takiej jednej z wielu tysięcy zabaw zapłodnił i tyle. Nieważne, że niechcący, w wyniku drobnego potknięcia. W lesie, Odenwaldzie, a więc lesie Odyna. Ty się natomiast sprawdziłeś w tej

roli, wyśmienicie. Dwie córki! Patrz pan... Trudno było pogodzić ją z innymi rolami? Choćby kochanka albo wiecznie poszukującego kochanków spoza łoża małżeńskiego? Ono wcześniej chyba opustoszało, w końcu psy je zdominowały. Ale z psami nie da się spłodzić potomstwa.

N o to zasuwamy wieczorkiem po ulicy imienia, to jest nazwiska, twojego teścia (ale nie tej w Podkowie, a w Brwinowie, dłuższej i bardziej jakoś nocnej), które ma coś w sobie z popa, ale więcej nie zdradzę, zasuwamy i podziwiamy, jak długo trzymają te iluminacje gwiazdkowe, aż do Wielkanocy i dłużej, bo lubią ludziska patrzeć na światelka, a Luba, czyli Luby żartuje, że pewnie się i dzwonnik usmażył w tym pożarze. Ale to nie żarty. Okazuje się bowiem, że cały nakład *Dzwonnika* wyprzedany, nagły *boom* i pewnie film wznowią albo jakiś nowy nakręca. Ja cię kręcę!

Niepojęte są takie zaskoki. To próchno nagle ożyło. To powieścidło. A twoja na ten przykład powieść, co musiałoby się stać, żeby ta powieść znalazła nowego czytelnika? Tak masowego jak *Dzwonnik*? No, a powieść twojego zięcia? Drugi Holokaust? To by pomogło „literaturze przedmiotu”? To by przypominało tę tak fatalnie zapomnianą powieść? Mało kto ją pamięta, a taka wielka, taka wielowątkowa i jednym słowem wspaniała, ale niekultowa. Podobny los ją spotkał jak *Ród ludzki* Staszica. Jakże nadal aktualny. A niekultowy. A jak niekultowy, to go nie ma. Po kulcie jednostki nastąpił kult jednostek i ich często marnych produktów. A moja powieść? Nie wiem, chyba tylko druga apokalipsa? Bo ja wciąż tylko o końcu, o końcu, a tu wszystko rozkwita, a jak się pali jakieś takie większe cacko, to tłum barykaduje ulice bardziej niż w czasie

manif żółtych kamizelek, żeby sfotografować ten palący się dom boży. Mimo że przecież dostają to gratis na kompie. Ale ja, myślę sobie taki, muszę mieć jednak swoje prywatne nagranie, by móc pokazać to potem dzieciom, wnukom. Najlepiej selfie. Patrzcie, wasz dziadek był świadkiem, jak paliła się katedra. Jak waliły się wieże tego tam WTC! Przypomina się Herostrates, co to podpalił w starożytnej Grecji WC. Nie, to u Sartre'a było! Żeby go zapamiętano. Czyż nie jest dziadek teraz bohaterem? Wcisnął się w tłum, stał, nagrywał, inni obok niego też, wszyscy inni też nagrywali i mamy dzięki temu dokumentację zdarzenia na tysiące dziesiątki tysięcy smartfonów. I puścić to wszystko na jakimś wielkim ekranie symulanicznie i taka pętla pokaże wciąż na nowo, jak się zapala albo zapada. Nieskończoną liczbę razy, nieskończenie długo. Jak się zapala i zapada. Jak się zapala i zapada. Posłuchajcie, jak to by brzmiało w audiobooku. Jak się zapala i zapada.

To są perspektywy kosmiczne, prawo wielkich liczb, magia wielkich liczb. W Tanzanii bodajże, twój teść wiedziałby lepiej, gdzie jest taki rytuał, że kopie się dołek w ziemi i odbywa się zbiorowa masturbacja, to jest po prostu gromadne wirtualne w połowie pieprzenie Matki Ziemi. I może to, że się to robi wspólnie, dodaje erekcji siły, a tu też zbiorowo, ale czy komuś staje, jak filmuje palącą się katedrę?

Jedna Szkotka sfotografowała nawet widmo Jezusa na rusztowaniu po zgaszeniu pożaru, przypominające obraz, który powstał na podstawie wizji Faustyny: Jezus pozuje, ale wiadomo, że był niepodobny do tego, co widziała. „Nasza” święta skarżyła się: tak wcale nie wyglądał Zbawiciel, który ze mną rozmawiał. A jak – pytały siostry – wyglądał? „Sama namaluj, mądralo”, nawet kazały jej namalować, dały pędzel, farby, płótno, a biedactwo nie potrafiło namalować, ale świętą została tak czy inaczej za sprawą waszego papy, który też został świętym. A Popiełuszko nie?! Ten zaś, który nazwał

go współczesnym Jezusem, znaczy się Popiełuszkę tak nazwał papa w pierwszym szoku – tak! Jakie tu priorytety? Nowy Jezus na dalszym miejscu w Kościele, papa przed nim? No, ale pewien kardynał, też Polak, potencjalny następca obecnego papy, o którym się mówi, że „ten kardynał ma jaja”, miał jako ceremoniarz w styku z obecnie już świętym papą wrażenie, że jest w styku ze świętym za życia. Boga, jak podkreśla, jednak nie zasłaniał. To i tak dobrze. Koło się zamyka. No i jak dotąd daremnie czeka się na cud Popiełuszki. Bez cudu cudów nie ma.

Pisząc to, co piszę, czytam to, co czytam. I „wpływowy” się staję, znaczy się wpływom wbrew semantyce tego słowa ulegam natychmiast. Jakby potok jakiś górski przetoczył się przez gały moje i one, te gały, nabrały od razu pędu i barwy, tego potoku słów nie słów, bardziej obrazów, bo on, czyli WG, którego czytam równoległe do pisania, pisząc filmuje, a ja filmując piszę, więc bliscy jesteśmy sobie, ale jak dalecy.

Bo on, to znaczy Gombro, wielki jest, a ja mały jestem i takim pozostanę do końca, choć może jest bliższy, niż mi się wydaje, i mógłbym przynajmniej w tej fazie postarać się, jeśli nie o wielkość, to przynajmniej o jakąś ponadprzeciętność, no nie? Tylko jak? Jakim sposobem? Najlepiej zabić, jako morderca „zaistnieć”. Kogokolwiek. Choćby Lubego/Lubą, bo jest pod ręką. Jednak jak zabić zjawę? Nie jest proste, więc nici ze sławy. Gombro, mówiąc jaśniej, wielkim chciał być i coraz większym, ale nie udało się mu dostać tej nagrody. Miałem „dolewać oliwy do ognia”. Ja! To, co miało mu pomóc w noblowaniu jego, nie wyszło jemu i bez tej oliwy by nie wyszło, bo pewnie wielu innych też dolewało. A okazało się, że olej magnezowy zupełnie bez oleju jest, trzeba mieć na tyle oleju w głowie, żeby to wiedzieć, nie miałem, i chciałem kupić olej, a ta pani w sklepie mi radzi: kup se pan dwuchlorek magnezu i rozpuść

se pan w wodzie, będzie pan miał to samo, pan to ma taniej o wiele, oni tylko wyciągają kasę z głupich, niech pan nie będzie taki frajer.

Więc nabyłem kilo dwutlenku i będę go mieszał z wodą, rozpuszczał w wodzie i będę w tym moczył stopy i łydki, żeby mnie przestały łąpać skurcze w nocy, gdy śnię o tym, że gram w piłkę z nieżyjącym ojcem, który był nie obrońcą pokoju, a piłkarzem, ale poetą też, jak się okazało później, i też wiersz o pokoju napisał, w dodatku światowym, pewnie takim w stylu niemieckim, bo był w trefnym mundurze, napisał jak ty, ale już bez gołębiczy, czyżby obok podobieństwa jakieś takie małe zapętleńko kwantowe, kurdepologne?

Ale i w starości czasem jeszcze kpię sobie z tradycji i szacunku dla ojca, lokalnej gwiazdy piłkarskiej, ty nią byłeś, znaczy się gwiazdą, nie piłkarską, ty świeciłeś ponadlokalnie, ale tu, tu, to znaczy, gdzie mieszkam, blisko ciebie i domostwa, i grobu twojego najjaśniej, jednak świecić przestałeś, teraz świecą twoim światłem wiekuistym inni i nie udaje im się twojego świecenia wskrzesić, bo to zniknęło wraz z tobą, w tym no wiemy grobie „niewygodnym”, bo za ciasnym i zimnym, jak piszesz, a ja czytam w tym tomiku zamiast ubieralnia... umieralnia. Przed którym, znaczy się grobem, czasem stoję i myślę, jakbyś też wyglądał w tym barbórkowym mundurze pewnie już zżartym, ale nie przez mole, jeno przez „przysłowiowe” robaki, które w miejscu akcji zrzucają swoją przysłowiowość....

Wciąż ta tematyka sepulkralna. Trzymam się tego, jestem starą hieną cmentarną, ale to nie mój pomysł był na życie. Sprawcą był ksiądz na Z. Ujawnię jednak nazwisko: Zaryczański. Imienia nie znam, zamiast mnie molestować, zabierał na pogrzeby. Stanowiliśmy „zgraną pakę”, jak to się mówi w jednej z piosenek disco polo dotyczącej jednak

czegoś innego. Szło się więc głównie na Centralny, ale cmentarz, a nie dworzec, i grzebało się kogo popadnie. Niestety często też wpierw do szpitali i mieszkań, will i mniejszych domów, do „poniemieckich” mieszkań. Był to taki czas nieco barbarzyński, wiadomo, Dziki Zachód Polski i trzeba było patrzeć przez cały czas trwania modlitw na te twarze fiołkowe nabrzmiałe od śmierci, wykrzywione, zdezelowane. Rzadko kiedy znośne, poza jednym jedynym razem, kiedy chowało się Królową Śnieżkę miasta G., dziewczynę istotnie wyglądającą bajecznie. Musiałem się w niej zakochać, choć nie na pierwsze, a na ostatnie wejrzenie, widziałem, jak lekko poruszała wargami, jakby się modliła w tej swojej trumnie „między kwiatami”, że zacytuję dobrze wiesz co, razem z księdzem i ze mną, taki odruch warunkowy na znane słowa albo co, mogło to być oczywiście przywidzeniem. Po tym pogrzebie chodziłem na jej grób częściej niż dziś na twój, słuchając przez hałasowanie ptaków cmentarnych, czy czasem nie woła. *À propos* ptaki. Najgłośniejszy chyba i najczystszy śpiewają właśnie na cmentarzach, jakby chciały zbudzić tych pogrążonych w wiecznym śnie, w jakiejś gigantycznej klinice BUDZIK, może w śpiączce wiecznej są i do przebudzenia na Sądzie Ostatecznym. Ale ci powiem, bezkonkurencyjne, jeśli chodzi o czystość i głośność śpiewu, jest ptactwo w Brzezince, nie w tej twojej Brzezynie, a w Birkenau. Tam się nasłuchiwałem tego porannego koncertowania, choć przyznaję, że chyba tylko tam w ogóle słyszałem owo robactwo nieba, bo tam brzmi ten śpiew szczególnie obscenicznie, choć kojąco dla tych, którzy już go nie mogą usłyszeć.

Tu mała przerwa, coś dla „wymagających”, którzy już pewnie zdążyli posądzić no i osądzić autora o zdrożną nekrofilję. Lata po tych opisanych tu wyprawach z księdzem Z. przeczytałem u francuskiego psychoanalityka Jacquesa Lacana: „Pierwszym symbolem, w którym poznajemy humanizm w jego szczątkowej postaci, jest grób, a zapośredniczenie przez śmierć jest poznawalne w każdej relacji, w której

człowiek dociera do życia swojej historii. Tylko to życie przetrwa i jest prawdziwe, ponieważ zostaje, nie zatracając siebie, przekazane w nieprzerwanej tradycji od podmiotu do podmiotu”. Przetłumaczyłem to sobie na własną rękę ze słynnej rozprawy Lacana *Fonction et champ de la parole et du langage en psychanalyse*. Lacan oznajmił to na kongresie psychoanalitików w Rzymie już we wrześniu 1953 roku, roku pochówku Stalina, i mam wrażenie, że symboliczną wartość pogrzebu zrozumieli głównie ceremoniarze pogrzebów państwowych, nie zaś ci, którzy nie z urzędu powinni dbać o ów szczątkowy „humanizm”, właśnie sepulkralny.

Przynajmniej mam alibi z wysokiej półki, no nie? I mamy klarowną sytuację mimo tego konfesyjnego bałaganu: są podmioty, jeden gada, drugi słucha i w tym słuchaniu się konstituuje, nabiera rumieńców, mimo że nominalnie trup.

O czym to ja mówiłem, a, o zgranej pace, a raczej o duecie pijanym tą żałobą, w którą wtopiliśmy się symultanicznie, choć niejednakowo, jeśli chodzi o role i ich wagę.

Ja byłem statystą, a gdy miałem śpiewać razem z księdzem Z., który nawiasem był księdzem-patriotą. To on wymyślił, bo się broniłem, że on odpowie w moim imieniu swoim głosem przedstawionym na mój. Taki teatrzyk sepulkralny, nikt tego nigdy chyba nie zauważył, choć miało to w sobie coś z komedii a nawet operetki. Operetka była na miejscu, ale nigdy ksiądz Z. nie zaprosił mnie, żebym poszedł z nim do tego przybytku niższej muzy. W ogóle nie było mowy o jakimkolwiek molestowaniu klasycznym, to, o którym jest mowa, miało swoje słodkie etapy szczytowania czysto akustycznego. Gdy intonował *Salve Regina* i żałobnicy przyłączali się do niego, miałem chyba coś w rodzaju wzvodu pod komżą, a już na pewno w bębenkach, bo czułem dionizyjskie uniesienie. *Unisono, à propos*, co to takiego, kojarzy się z Unią i Sony.

A jednak relacja z ks. Z. nie była zupełnie niewinna, jak to ci przedstawiłem, a nawet miała swoje dość zdżożne apogeum. Wyjechaliśmy pewnej niedzieli na cmentarz, tym razem nie jako duet pogrzebowy, a on jako gościnnie celebrujący mszę w ustronnym kościółku drewnianym na cmentarzu Centralnym, zwanym po niemiecku *Schrotholzkirche*. Ja jako jedyny ministrant, czyli jakby jego „asystent”. Było to jedno z bardziej magicznych miejsc mojej młodości, wielokrotnie wkradaliśmy się, wręcz włamywaliśmy do niego z kolegami, przy czym ja zachwyciałem się głównie niezwykłym zapachem starego drewna i wyrafinowaną grą światła na powierzchni jakby przestrzennych, miało się wrażenie że wielowiekowych witraży z pajęczyn, układających się w mobilne instalacje o niezwykłym wyrazie plastycznym. Stąd może moja reakcja na „boskie” witraże w Notre Dame, kiedy to przed p. Anną udawałem zachwyt, a de facto pozostałem wobec nich zupełnie obojętny np., bo takie były dla mnie démodé.

Rzeczony niedzieli miała się tam odbyć niejako eksperymentalnie Msza dla mieszkańców okolicznych domostw, od których daleko było do kościołów w samym mieście albo do okolicznych wsi. Taki gest parafii Wszystkich Świętych, jak mówię, pionierski, nigdy wcześniej nie praktykowany. Parafia z miasta wysłała swojego dyżurnego cmentarnego księdza, który z kolei sięgnął po swojego nagminnie cmentarnego towarzysza-ministranta, czyli młodego mnie, moją Moją, używając słownictwa Witkacego. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, frekwencja dopisała, atmosfera robiła swoje, eksperyment zdawał się być w pełni udany. Pojechaliśmy na cmentarz w drodze wyjątku jakąś dorożką, bo zazwyczaj piechotą, która czekała na nas

na placu przed wejściem głównym, który obecnie jest parkingiem. Wtedy samochodów było tyle, co kot napłakał, ale i dorożka była wtedy wyjątkiem.

Msza dobiegała końca, gdy okazało się, że ks. Z., gdy chciałem przystąpić jako jeden z pierwszych do komunii, dał mi znak, bym się powstrzymał. Byłem posłuszny, wycofałem się z zamiaru, a przez jakiś czas pracowała we mnie konsternacja, czyżby odmówił mi przyjęcia komunii, jak ja w swoim czasie udaremniłem udzielenia komunii mojej babci, którą chciałem w ten sposób ukarać za dewocję i dać nauczkę po jej katastrofalnym zachowaniu w czasie jakiejś rodzinnej awantury. Mniejsza jednak o babcię, której udało się znaleźć cwane wyjście z tej sytuacji: po prostu na zaś schowała jedną hostię do swojego modlitewnika *Droga do nieba* w niemieckiej wersji, czyli *Himmelfahrt*, tyle że nie *Himmelfahrtskommando*.

Ks. Z. zwrócił się do mnie w ostatniej kolejności, szybko doskoczyłem do tego, co nazywano „Kommunionbank” – co nie ma nic wspólnego z bankiem – i wtedy za jednym zamachem załadował mi wszystkie „nadliczbowe” hostie, które zostały po ich wyświęceniu, do poddańczych ust. Źle oszacował liczbę chętnych do przyjęcia, a nie chciał konsekrowanych brać w drogę powrotną, posłużył się mną, będąc przyzwyczajony na podstawie licznych pogrzebów do mojej usługowości, którą później dopiero nazwałem pierdoloną kurtuazją. Dość, że miałem usta napchane hostiami, jeszcze w drodze powrotnej w dorożce językiem odklejałem z podniebienia najświętsze ciało Chrystusa.

Czułem się zgwałcony, czułem się tucznikiem boga i to doznanie czegoś niesamowitego, ni to szokującego, ni to wykraczającego poza rytuał zostało we mnie do dziś. Żaden obciąż nie był w stanie wymazać go z pamięci. Opowiadam ci o tym, żeby skorygować w innym miejscu sformułowane zdanie o ks. Z. jako tym, który w żaden sposób